

Refleksje

Раздумия

Bogdan Banasiak

Z wypraw i o wyprawach, albo kartki z podróży...

Из экспедиций и о экспедициях, или почтовые открытки из путешествий...

*Ze wszystkich podróży niczego nigdy
nie wykorzystałem w mych książkach*

Raymond Roussel

Któż z nas, zwłaszcza w dzieciństwie czy w latach młodości, nie marzył o podróżach. O poznawaniu nowych ludzi, odmiennych kultur, nieznanymi lądami, dzikiej przyrody. O oglądaniu, odkrywaniu, zdobywaniu. O dreszczu emocji, o uroku nieznanego, o przygodzie. I któż z nas nie rozczytywał się w książkach przygodowych i podróżniczych. Nie ślęczał godzinami nad mapą, odbywając w wyobraźni najdalsze wyprawy. Z wypiekami na twarzy nie odczytywał w klasie nazw nieznanymi krainami. A poza tym przecież „podróże kształcą”.

Podróże mistrzów

Zapewne podobne marzenia, a także nadzieje i pasje (obok mniej wzniosłych, bardziej zaś pragmatycznych motywacji, np. ideologia, władza, bogactwo...), skłoniły niejednego do podjęcia realnych wypraw. A że marzenia takie były udziałem wielu, to nazwiska wielkich podróżników i odkrywców znalazły w historii miejsce dość wyjątkowe, toteż samo ich brzmienie – Krzysztof Kolumb, Vasco da Gama, James Cook, Roald Amundsen, Thor Heyerdahl, Aleksander von Humboldt, Ferdynand Magellan, Marco Polo – ewokuje aurę egzotyki, przygody, tajemniczości. A relacje z podróży przynajmniej od czasów Oświecenia cieszą się niesłabnącym powodzeniem.

Dziś już nawet nie da się marzyć o odkrywaniu nowych lądów, trudno bowiem znaleźć choćby skrawek ziemi, na którym nie stanęła ludzka stopa. Z kolei podróżowanie, niegdyś będące udziałem tylko nielicznych (odważnych, energicznych, majątnych, rządnych wiedzy i przygody – badaczy i awanturników), jest dostępne potencjalnie każdemu, bo wskutek postępu technicznego, który z naszego globu uczynił „globalną wioskę” (McLuhan), z jednej strony, stało się często wręcz koniecznym elementem codzienności: biznes, z drugiej zaś – atrakcyjną formą rozrywki i spędzania czasu: turystyka, a przy okazji także chwilową ucieczką od cywilizacyjnych dokuczliwości. Tak czy owak owa demokratyzacja i popularyzacja spowodowały, że podróżowanie uległo trywializacji i straciło wiele z aury niezwykłości i wyjątkowości. A rozwój mass mediów sprawił, że wiele miejsc możemy „odwiedzić”, nie ruszając się z fotela – oko kamery doskonale je pokaże. Ale podobnych marzeń nie porzuciliśmy, bo wyruszyliśmy tam, dokąd niegdyś tylko najwięksi marzyciele się wyprawiali (jak Jules Verne): w głąb oceanów i w przestrzeń kosmiczną. I tylko kwestie techniczne stanowią ograniczenie dla dalszej ekspansji.

Choć zapewne trudno byłoby mówić o podróżach w kontekście znanych od paleolitu wędrówek ludów (podyktowanych niekorzystnymi zmianami klimatu, trudnościami z wyżywieniem zbiorowości czy nadmiernym wzrostem liczby ludności) oraz koczownictwa, to jednak równie trudno zaprzeczyć, że skłonność do wędrowania na stałe człowiekowi towarzyszy. Ale nawet jeśli wiele ludów (pod każdą szerokością geograficzną i w każdym czasie historycznym) podróżowało w celach bojowych, handlowych, religijnych czy poznawczych, to jednak bodaj tylko Zachód uczynił z tej praktyki podróżniczą ekspansję, która stała się wręcz cechą charakterystyczną tej kultury. Można by zresztą, przy pewnym uproszczeniu, wskazać jej historycznie różne fazy.

Starożytność, jeśli pominąć „wybryk” nienasyconego Aleksandra Wielkiego, zachowała względny umiar z podróżowaniem. Dopiero Rzym rozpoczął metodyczny podbój rozlicznych ziem, budując ogromne imperium, kształtowane według modelu bez mała wojskowego i uparcie technicznie cywilizowane.

Średniowieczne wyprawy krzyżowe (choćby Ryszard Lwie Serce) ujawniły stałe intencje i zapoczątkowały bezpardonowe metody: walka z niewiernymi i nawracanie innych ludów oraz podział łupów, jednym słowem, zaprowadzanie „ogniem i mieczem” europejskiego porządku, czyli eksterminacja pod egidą najwyższych wartości.

Rycerze wiary znaleźli zaś godnych kontynuatorów w czasach konkwisty: pod płaszczykiem niesienia cywilizacyjnej oświaty Hernán Cortés i Francisco Pizarro rabowali i mordowali, podobnie jak kolonizatorzy nowo odkrytych lądów (Afryka, Azja Australia), handlarze niewolników oraz idący na Zachód amerykańscy osadnicy.

Może zresztą właśnie wówczas Zachód ukazał swe prawdziwe oblicze. Przeświadczony o swej cywilizacyjnej wyższości oraz absolutnym charakterze

wyznawanych przez siebie racji i wartości oraz myślący w kategoriach binarnych przy waloryzacji tego, co własne, podzielił świat na wewnątrz/zewnątrz, kosmos/chaos, miasto/pustynię. I uznał kosmos za względnie bezpieczną wyspę w otchłani otaczającego go chaosu. Za murami miasta dostrzegł groźną pustynię. W przybyłych z zewnątrz upatrywał wrogów. W mrocznym zewnątrz widział czające się zło. My, swoi, i Oni, obcy, często podludzie. Inny – gorszy, obcy i groźny – zawsze towarzyszył Temu Samemu. Rozum zawsze przeglądał się w Nierozumie. Zachodnia wspólnota (modelową, osobniczą postacią byłby w niej niejako wyłącznie dorosły, biały, heteroseksualny, monogamiczny samiec, wyznania chrześcijańskiego, postępujący racjonalnie) zawsze powoływała swych Innych (oczywiście także we własnym obszarze). I to na nich – nieodmiennie pozbawionych możliwości mówienia we własnym imieniu – skuteczniała swe racjonalne praktyki: zamykała, badała, leczyła, nawracała, a więc próbowała ich upodobnić do siebie (normalizacja), gdy zaś to nie skutkowało, bez wahania posuwała się dalej, bo przecież „dobry Indianin to martwy Indianin”.

Niczym wyraz zniewieściałości Zachodu jawi się złagodzona praktyka oświeceniowa, gdy obok zabiegów kolonizacyjnych rozpoczęto wyprawy dyktowane intencją poznawczą, której towarzyszył duch pewnego respektu, a niekiedy wręcz zachwyty (nie bez nuty sentymentalizmu i optymizmu) dla tubylców, realizujących w dziczy „raj na ziemi” (choćby L.A. de Bougainville). Później już tylko antropologowie ujawniali badawczą troskę, zresztą już nie o dzikusów, lecz o plemiona przedliterackie, które nim same ulegną urokowi zachodnich gadżetów, jakiś czas przetrwają w rezerwach bądź skansenach, zachowując resztki własnej tożsamości kulturowej.

Za tę „słabość” (i ducha tolerancji, często podszytej interesownym flirtem) przyjdzie jednak Zachodowi zacząć płacić na przełomie XX–XXI wieku, gdy hordy podróżników, gł. z Bliskiego Wschodu, korzystając z osiągnięć cywilizacyjno-technicznych oraz udogodnień socjalnych Zachodu, zechcą na jego terytorium zaprowadzać własne porządki. Bo poczują się lepiej i pewniej niż u siebie.

Orient zazwyczaj podróżował inaczej – w głąb ludzkiej psychiki, w duchowość, eksplorował raczej wewnątrz niż zewnątrz. Dlatego to raczej na Wschodzie wykształciły się praktyki poznania, wykorzystania, maksymalizacji i intensyfikacji psychicznych (choćby praktyki medytacyjne) i fizycznych (zwłaszcza sztuki walki) możliwości człowieka. Pro-transcendentnemu nastawieniu Zachodu (przekraczającego granice własnego terytorium, dokonującego ekspansji na zewnątrz) Wschód przeciwstawił swą pro-immanencję (eksploracja ludzkiego wnętrza).

Bodaj żadna inna kultura nie ujawniła takiej ekspansji jak Zachód, ale też bodaj żadna inna nie potrafiła zdystansować się do siebie samej, krytycznie określając własne bolączki, a nawet artykułując własny kryzys. Bodaj też żadna inna nie wykazała takiej umiejętności anektowania równie szerokiej skali obcych wpływów, i to należących do różnych porządków (od ludności począwszy,

a na jedzeniu skończywszy). I również tylko Zachód odniósł się poznawczo do obcych kultur, co więcej, zaczął wykazywać troskę o ich przetrwanie.

Dzisiaj kultura zachodnia jedynie zmieniła formę ekspansji na bardziej subtelna: z jednej strony, poprzez działalność biznesowo-kapitałową, z drugiej zaś, poprzez swą techniczną atrakcyjność – nie musi więc brutalnie podbijać, gdyż, w tym pierwszym aspekcie, działa niejako samoistnie, niczym naczynia kapilarne (powiązania biznesowo-kapitałowe mają charakter samo rozrastającego się kłęba), w tym drugim z kolei, sama jest chętnie wchłaniana. Globalizacja, standaryzacja, unifikacja to zjawiska nieuchronne.

Czy jednak skala, jaką dzisiaj osiąga podróżowanie (wobec możliwości swobodnego dotarcia w dowolne miejsce na globie), pozwala mówić o nowoczesnym nomadyzmie, o swoistej epoce koczownictwa? Czy efektem takich możliwości podróżowania jest jakieś szczególne wykorzenienie człowieka, tradycyjnie przywiązanego do domowego ogniska i tradycyjnie je waloryzującego? Czy zakwestionowaniu uległ osiedleńczy tryb życia? Czy zatem dopiero współczesność realizuje, by tak rzec, istotę wędrowki?

To prawda, że zarówno zawodowa konieczność podróżowania, jak i jego turystyczna możliwość, w znacznej mierze naruszają proste przypisanie do miejsca urodzenia czy zamieszkania. Zasadniczo nikt nie jest skazany na dane miejsce pobytu, a podróż nie jest ani wyjątkowo czasochłonna, ani męcząca, ani ryzykowna – zazwyczaj wręcz przeciwnie. Ale biznesmen i turysta są raczej podobni do emigranta czy wychodźcy, tyle że ich przemieszczanie się jest bardziej intensywne, podlega jednak takim samym zasadom, jak wędrowka tamtych – z tego względu, że zawsze wyruszają oni z określonego punktu i docierają do określonego punktu, poruszając się przy tym określoną drogą (tyle że częściej, szybciej, sprawniej, wygodniej...), ich podróżowanie jest ściśle przewidywalne (zazwyczaj zresztą poprzedzone jest logistyką podróżną: ich własną, rozkładami jazdy przewoźników, ofertami biur podróży, nieprzewidywalne zaś uchyla charter). Zawsze poruszają się w przestrzeni rozrysowanej: lotniskami, liniami kolejowymi, drogami, hotelami, gospodarstwami agroturystycznymi, restauracjami, miejscami spotkań biznesowych, punktami widokowymi itp.

Toteż mimo intensyfikacji podróżowania, nie mają oni nic wspólnego z nomadą, pozostającym zawsze w przestrzeni gładkiej, takiej więc, która nie ma ani stałych dróg, ani stałych miejsc pobytu czy zatrzymania – to nomada takie miejsca i drogi stwarza (swą marszrutą i popasem), ale też zaraz je uchyla (wyruszając dalej): nie zatrzymuje się w hotelach o określonej lokalizacji, lecz rozbija namiot lub buduje szałas tam, gdzie akurat stanie. Toteż dzisiejsi biznesmeni czy turyści to jednak nie podróżnicy bądź wędrowcy *par excellence*, to nie nowi nomadowie. A nowoczesny świat, choć w wyjątkowy sposób znaczone jest podróżowaniem, nie jest światem koczowników – jest nadal światem osiedleńców, którym demokracja i warunki techniczne umożliwiają swobodne przemieszczanie się, a nawet je wymuszają.

Mistrzowie podróży

Ale podróże miewają też całkiem inny charakter i może nawet wówczas są bardziej zbliżone do ich wersji ściśle nomadycznej.

Gilles Deleuze tak o sobie napisał: „Znaki szczególne: niewiele podróży-ował”¹. I tylko jedną z wypraw w przestrzeni, do Florencji, wzmiankował jako „być może” wartą odnotowania². Uznawał jednak, że „jeśli się nie ruszam z miejsca, jeśli nie podróżuję, to jak wszyscy odbywam podróże w miejscu, które mogę mierzyć tylko własnymi emocjami”³. I właśnie ta postawa stanowiła o jego prywatnym eksperymentowaniu: „pustynia, eksperymentowanie na sobie jest naszą jedyną tożsamością, naszą jedyną szansą wobec wszelkich zamieszkujących nas kombinacji”⁴. Waloryzując postawę samotnika i samemu taką przyjmując, i w sensie odrębnej drogi filozoficznej, i w sensie zdystansowania do świata⁵, Deleuze twierdził, że „istnieje stawanie się, które dokonuje się w ciszy, i które jest niemal niezauważalne”⁶, i chciał, by takie było jego życie: „moim marzeniem nie jest być niewidzialnym, lecz niezauważalnym”⁷. Toteż także w swych dziełach pisał o stawaniu się niezauważalnym, o nomadycznym ruchu w miejscu, w wyobraźni, w intensywnościach⁸, o podróżach odbywanych w lekturach, w myślach – sam „czytał po to, by latać”⁹. Postawę taką uważał za szczególnie godną polecenia we współczesnym świecie, w którym goniące za sensacją media i żadna wrażeń opinia publiczna poszukują „prawdy” o człowieku w sferze banalnych wydarzeń, ignorując głębię i ruch myśli, czyli to, co jedynie istotne. Zresztą nie chodziło mu o kwestię osobistego życia, lecz o życie przenikające do dzieł, o „dzieło-życie”, bo „Myśl nigdy nie była sprawą teorii. To problemy życia. To samo życie”¹⁰. I też całe swe życie Deleuze zintensyfikował w twórczym namyśle.

I czyż wielu z nas nie odbywało też takich podróży, podróży pod egidą zachwyceń estetycznych, intelektualnych, emocjonalnych, pod egidą mistrzów pióra i myśli? Estetycznych i emocjonalnych – za sprawą rozlicznych dzieł literackich. Intelektualnych – za sprawą dzieł refleksyjnych, w tym filozoficznych.

¹ b.n.a., *Repères biographiques*, „Magazine littéraire” n° 257, Gilles Deleuze, septembre 1988, s. 19 (przedruk w: „Magazine littéraire” n° 496, *L’effet Deleuze*, février 2002, s. 20).

² Ph. Mengue, *Gilles Deleuze ou le système du multiple*, éd. Kimé, Paris 1994, s. 298.

³ G. Deleuze, *Pourparlers 1972–1990*, Minuit, Paris 1990, s. 21.

⁴ G. Deleuze avec C. Parnet, *Dialogues*, Flammarion, Paris 1977, s. 18.

⁵ Zob. G. Deleuze, *Pourparlers...*, s. 188 i n.

⁶ G. Deleuze avec C. Parnet, *Dialogues...*, s. 8.

⁷ *Ibidem*, s. 57.

⁸ Zob. G. Deleuze avec F. Guattari, *Capitalisme et schizophrénie 2. Mille plateaux*, Minuit, Paris 1980, s. 284 i n.

⁹ J.-F. Lyotard, *Il était la bibliothèque de Babel*, „Libération”, 7 novembre 1995, s. 37.

¹⁰ G. Deleuze, *Pourparlers...*, s. 143.

Ale przecież najpierw za sprawą baśniowych legend i historii opowiadanych przez babcię, gdy magicznie brzmiące nazwy odległych i niezbadanych krain ewokowały tajemniczość, nieznaną, przygodę, po prostu zachwycały niezwykłością i cudownością, gdy za sprawą wyobraźni mogło się w nich zdarzyć wszystko, gdy wyobraźnia zastępowała cały świat. Czyż później nie kształtowaliśmy się w kolejnych lekturach? Czyż nie mieliśmy ulubionych bohaterów, którym chcieliśmy dorównać? Czyż wraz z nimi nie przeżywaliśmy niezwykłych przygód? A to przecież podróże – w uczuciach, w doznaniach, w wyobraźni. Często równie kształtujące jak podróże w przestrzeni, o ile nie bardziej, jeśli w ręce wpadały nam dzieła Schulza, Borgesa, Bułhakowa, Marqueza, Cervantesa, Kafki, Hessego i wiele innych.

Gdy zaś dochodził element refleksji, namysłu i przemyśleń, wnioskowania i wykazywania, jednym słowem, zastanawiania się nad sobą czy światem, były to wręcz odkrywcze wyprawy w nieznaną – ryzykowną, bo nie wiedzieliśmy, co spotkamy, co nas spotka. Poszukiwanie i odkrywanie – tym przecież zawsze jest refleksja. I nastawienie krytyczne, by samemu próbować siebie określać, a więc w konfrontacji z poznanym i w odsłanianiu nieznanego siebie kształtować.

Czymś zaś w znacznej mierze analogicznym byłoby także pisanie. Ale takie pisanie, które podyktowane jest imperatywem: nie wiem. Bo tylko wówczas pisanie i myślenie stają się prawdziwą wyprawą, podróżą w nieznaną, czymś, co nieodparcie pociąga i równie nieodparcie stanowi udręczenie: wątpliwościami, pytaniami, koniecznością kwestionowania. Tylko wówczas jest to prawdziwe wyzwanie, prawdziwy wysiłek, prawdziwe samokształtowanie. Tylko wówczas można odkrywać. Także siebie. Gdy zaś brakuje takiego imperatywu, pisanie staje się zwykłym dydaktyzmem – czymś trywialnym i jałowym. Przestaje być wielką wyprawą.

Może więc w świecie, w którym wielka wyprawa w nieznaną sprowadza się już tylko do podróży w interesach bądź turystyki, tym bardziej warto wyprawiać się czasem w głąb siebie, byśmy nadal pozostali i tymi, których lektury kształtowały, i tymi, którzy – jako ludzie – lektur tych przecież byli bohaterami. Byśmy nie zatracili siły intelektu i nie zapomnieli o potęgę wyobraźni.